

ESEJ O NARODZINACH EPOKI WSPÓŁCZESNEJ *

1. Książka Barraclougha, którą udostępniono polskiemu czytelnikowi z dużym opóźnieniem (siedem lat w historii współczesnej, to szmat czasu!), ale za to w dobrym przekładzie, nie wymaga — moim zdaniem — zwykłej, tradycyjnej recenzji, jakich u nas aż nadto wiele. Prosi się natomiast o dyskusję, o polemikę.

Wstęp do historii współczesnej to rozprawa nader subiektywna, praca à thèse. Razi z pewnością wielu jej forma eseistyczna, odrzuca ujęcie, załatwiane przez naukowców uroczo-pejoratywnym słowem: wszystkoizm, irytuje dystansem od konkretności, od „surowca historii” (choć tzw. faktów nie brak na kartach *Wstępu*). A przecież zaciekawia, pobudza do myślenia, inicjuje wymianę myśli.

W tekście omawia się przede wszystkim siedemdziesięciolecie 1890—1960, lecz Autor do tego odcinka dziejów najnowszych bynajmniej się nie ogranicza. Sięga raz po raz do historii nowożytnej, jeszcze częściej zatrzymując się na sprawach palących aktualnością i nie stroniąc od historii przyszłości, a nawet prognoz futurologicznych.

A może jest to książka z dziedziny nauki o polityce, przybrana — jak to często bywa — w historyczne szaty? Albo zarys historii globalnej, swoistej wizji syntetycznej wspartej na różnych dziedzinach nauk o człowieku i uwzględniającej rozmaite wymiary czasu historycznego? Wydaje się, że jest po części i jednym, i drugim.

W moich uwagach pomnę sprawy drobne, choć sprostowań rzeczowych dałoby się wyliczyć sporo. Skoro Barraclough stara się patrzeć na zjawiska, procesy i tendencje rozwojowe z lotu ptaka, więc wypada z nim dyskutować na płaszczyźnie rozważań ogólnych.

2. Tezy generalne Autora dadzą się streścić dość łatwo.

Około 1890 r. rozpoczyna się w dziejach świata jakościowa zmiana, „przeskok”. Okres przejściowy (do ok. 1960 r.), pomimo presji dawnych zjawisk i zachowań ludzkich, nabywa coraz więcej cech zasadniczo różnych od tych, które charakteryzowały świat nowożytny.

Nauka zaczyna stawać się potężnym motorem postępu we wszystkich dziedzinach życia. Industrializm, owoc drugiej rewolucji przemysłowej, gwałtownie zmienia środowisko naturalne, grupuje masy ludzkie, a rewolucja komunikacyjna „zmniejsza świat”. Burzliwa urbanizacja powołuje do życia nowe społeczeństwa, tworzy nowe zachowania, wykształca nowy styl życia. Postępy medyczne sprawiają, że eksplozja demograficzna ogarnia całe kontynenty, przy czym Europa pozostaje coraz bardziej w tyle za innymi częściami świata.

Imperializm kolonialny stwarza pozory bezwzględnej dominacji Europy nad światem. Ale Stary Kontynent cierpi na „zadyszkę”, nie może strawić tego, co połąkał. Ekspansja słabnącej demograficznie i ekonomicznie Europy wyzwala ogromne siły antyeuropejskie na innych kontynentach, zwłaszcza w Azji.

Od końca XIX w. wysuwa się na czoło rywalizacja dwóch szybko rosnących

* Geoffrey Barraclough, *Wstęp do historii współczesnej*, tłum. D. Petsch, przedmowa R. Frelek, Warszawa 1971, ss. 321; wyd. oryginalne — 1964.

potęg: Rosji i USA. Rywalizacja ta (a włącza się do niej m.in. Japonia) rozpoczyna erę polityki światowej, którą można scharakteryzować jako erę Pacyfiku. Małe, coraz wyraźniej rola Europy. Wstrząsające nią konflikty (nawet II wojna światowa) stają się marginalne w skali światowej, są doczepką do światowej polityki wielkich światowych potęg.

Rebelia ludów kolonialnych i zależnych doprowadza do utworzenia wielu nowych niepodległych organizmów państwowych w Azji i Afryce. Zmienia to układ sił w świecie ograniczając rolę polityczno-wojskową i gospodarczą Europy. Emancypacja Trzeciego Świata wiąże się ściśle z pojawieniem się i ekspansją leninizmu oraz idei rewolucji proletariackiej. Wpływ komunizmu na kraje afrykańskie i azjatyckie jest potężny i trwa nadal. Stanowi on podstawę formowania poza Europą nowych ruchów narodowych, nowego typu struktur społecznych i polityczno-państwowych.

Organizacja życia politycznego w społeczeństwach krajów wysoko, a nawet średnioprzemysłowych i zurbanizowanych ulega zasadniczym przeobrażeniom. Indywidualizmowi i liberalizmowi, wyrażanym przez systemy parlamentarne, ciosy śmiertelne zadają nowe formy masowej demokracji, w których decydującą rolę odgrywają nowoczesne partie polityczne.

Zaszły ogromne zmiany w literaturze i sztuce. Wielkie prądy artystyczne XX w. zerwały z czterystoletnią tradycją nowożytną. Ale była to negacja i destrukcja. Nie powstały jeszcze więzy raczkującej kultury wieku technologicznego z nowym społeczeństwem. Wiadomo tylko, że dawne formy literackie i malarskie wyczerpały się, że Europa i w tej dziedzinie utraciła prymat. Centrum zainteresowania rodzącej się w trudzie nowej sztuki nie jest jednostka, lecz grupa, masa ludzka. Stąd postępy tego, co Autor nazywa realizmem społecznym.

3. Przedstawiona przez Barraclougha globalna wizja narodzin nowoczesnego świata, wizja w grubym zarysie dość zwarta, pobudza do refleksji, do sprzeciwu, do podważenia całej, fascynującej w niejednym, konstrukcji. Konstrukcji bardzo abstrakcyjnej.

Autor, choć jest to raczej pozorne, popiera tezę Fernanda Braudela (popiera, nie znając jej w sformułowaniu, jakie przytoczę), że „historia to studium społeczeństw dawnych i dzisiejszych [podkr. T.Ł.], rozpatrywanych wedle tej szczególnej zmiennej, jaką posługuje się historyk — trwania”¹, zwraca jednak szczególną uwagę na jakościowe, gwałtowne zmiany, na przerwy, „przeskoki” w rozwoju. Czytając książkę odnosi się wrażenie, iż Autor sądzi, że wszystko to, o czym pisze, zaczęło się wczoraj. Barraclougha wizja historii wydaje mi się w niejednym ahistoryczna.

Autor sprzeciwia się zdecydowanie potocznej wśród historyków tezie utrzymującej, że historia współczesna to najnowszy etap (a więc część integralna) dziejów nowożytnych (s. 21 n.). Dla Barraclougha istotniejsza od ciągłości jest gwałtowna mutacja, a więc kryzys wieloaspektowy, gruntownie przeobrażający człowieka i cywilizację. Z tego punktu widzenia proponowana przez Autora definicja: „historia współczesna zaczyna się wtedy, gdy po raz pierwszy dają znać o sobie problemy, które są aktualne w świecie obecnym” (s. 32) przynosi zawód. Gdzież tu tkwi owo zerwanie dziejowej ciągłości? Autor mimo swego przywiązania do teorii „gwałtownych mutacji” ulega starym tezom ewolucjonistycznym. Stwierdza przecież, że nowy świat nie odcina się bynajmniej od starego, choć też nie jest swego poprzednika zwykłą kontynuacją. Pointę tych rozważań stanowi zdanie banalne i mogące być różnie interpretowane: „jest to nowy świat, tkwiący korzeniami w świecie starym” (s. 43). Hurra-mutacjonizm zawisa w próżni.

¹ F. Braudel. *Historia i trwanie*. Warszawa 1971, s. 348.

W rezultacie Barraclough, co zrozumiałe, nie może się uwolnić od presji długich ciągów, od trwania. Aby zabezpieczyć swą tezę o „pełnej inności” historii współczesnej (a więc tej po 1960 r.) zmuszony jest proklamować istnienie okresu przejściowego 1890—1960, nieraz wydłużonego wstecz do 1870 r. To już ustępstwo, choć Autor nie chce przyznać, iż w historii „przejdziowości” i „mutacje” są nieodłączne od „długiego trwania”. Ich splot dopiero stanowi fundamentalne, acz nie zawsze dostrzegalne prawo regulujące wielką ludzką przygodę. Dzieje same dają nam pasmowo ujęte daty graniczne rozwoju społecznego. Owe daty wszakże tyleż dzielą, co łączą.

Człowiek średniowiecza mógł myśleć, iż żyje w całkowicie jakościowo innym świecie niż starożytni, że jest częścią innej społeczności ludzkiej niż antyczna. To samo mógł odczuwać „nowy człowiek” Odrodzenia, myśląc o epoce wieków średnich. Z czasem rozumieć zaczęto, jak wiele więzów łączy ludzi średniowiecza z antykiem i renesansu ze średniowieczem.

Podobnie w każdej dziedzinie współczesnych ludzkich myśli, zachowań, działań, w nas samych, odnajdujemy świeże ślady XIX w., który dla Barraclougha zmarł od dawna i to śmiercią gwałtowną. Dlatego tylko roboczo i prowizorycznie przyjąć możemy rok 1890 jako cezurę zapoczątkowującą *Wstęp do historii współczesnej*. Brak dostatecznej głębi czasowej, by sprawę przesądzać, mimo iż Autor przytoczył sporo argumentów przemawiających za zasadnością tej granicy historycznej. Myślę, że bez trudu można by znaleźć „lepsze” daty, jak np. 1917 (lepiej może pas 1910—1921, od rewolucji chińskiej i meksykańskiej po zwycięstwo rewolucji bolszewickiej i czasowe utrwalenie porządku wersalskiego) lub 1941 (przekształcenie się II wojny światowej w konflikt rzeczywiście globalny i początek tego, co Autor nazywa nową polityką o światowym oddechu).

Wszystko to są propozycje tyle frapujące słusznością i uzasadnialne, co kruche i podważalne, jak wszelkie uogólnienia w obrębie dziejów współczesnych. Barraclough doskonale zdaje sobie sprawę z ogromnej ułomności i powierzchowności tego, co zwie się z dumą naukową historią najnowszą (dziejopisarstwo nasze, dodam, nie jest wyjątkiem). Historia ta zafascynowana jest tempem i zmiennością, zapatrzona w wydarzenia, oślepiana fajerwerkami nowości, nie umiejąca często rozróżnić zjawisk na skali ich ważności, tłumacząca współczesne współczesnym. Barraclough trafnie pisze, że to, co uważane jest za historię najnowszą „tylko nieznacznie różni się od propagandy, bądź dorywczego komentarza na temat «spraw bieżących»” (s. 26). Jest tak m.in. dlatego, że zawodowi historycy najnowsi słabo znają historię dawniejszą, że — przytłoczeni wydarzeniami — duszą się w ciasnych granicach krótkiej perspektywy.

Autor poszukuje momentu, w którym dają o sobie znać aktualne dziś problemy. O jakim mówi świecie? Otóż, wbrew swym deklaracjom o antyeurocentryzmie, traktuje o strefie euro-północno-amerykańskiej z dodatkiem Japonii. Barraclough wie, że wiele aktualnych dziś problemów Chin, Konga czy Boliwii ma starą metrykę, że „dawały o sobie znać” przed wiekiem i przed kilku wiekami. Ale Autora to nie wzrusza, bo szukając nowoczesności uważa za niezbędne uchwycenie głównego ogniwa. Jest nim wyjaśniająca rzekomo świat historia współczesnych wielkich potęg.

4. Barraclough chce pisać o historii świata, bo właśnie w XX w. historia staje się rzeczywiście globalna, ale przecież to fałsz. Jest to historia światowej polityki uprawianej przez wielkich, lecz nie historia świata. Wbrew pozorom nie ma na kartach książki współzależności rozwoju przemysłowego świata sytych i tkwiącego w zacofaniu agrarnego świata głodnych. Brak tu małych narodów, brak społeczeństw przedkapitalistycznych lub parakapitalistycznych, bo ich istnienie mąci obraz ludzkości ery technologicznej.

Słusznie napisał w interesującym omówieniu książki Barraclougha Władysław Zajewski, że dla naszego autora „dzieje świata, to właściwie historia Stanów Zjednoczonych, Rosji (ZSRR), Japonii, Anglii, Francji i częściowo Niemiec. Inne państwa i narody nie istnieją właściwie lub jeśli są, to są dodatkiem do wymienionych”².

Autor często używa słowa Europa. Cóż ono dla niego oznacza? Tylko część zachodnią kontynentu, ściślej sześć krajów EWG. Reszta, to jest większość terytorium naszego kontynentu, nie liczy się. Wyspy Brytyjskie to również świat odrębny od Europy. Ujęcie Autora wypływa z założonych z góry tez.

Z uporem i przesadnym naciskiem powtarzane wywody o upadku znaczenia Europy we wszystkich dziedzinach (nawet w kulturze umysłowej, co przecież mija się z prawdą) są konsekwencją przyjęcia tezy podstawowej: po erze śródziemnomorskiej przyszła era atlantycka, obecnie zaś żyjemy w erze Pacyfiku. Można by zauważyć, że ta ostatnia powinna być epoką w dziejach ludzkości ostatnią, jako że z pewnością większego akwenu niż Ocean Spokojny na naszym globie już nie znajdziemy.

Antyeuropocentryzm Barraclougha jest typowo europejski w jego specyficznym, anglosaskim wydaniu. Sukcesyjnym niejako po Wielkiej Brytanii supermocarstwem światowym są wszak anglosaskie Stany Zjednoczone. O ile Autor dość surowo się obchodzi ze „starymi” imperializmami europejskimi (francuski, niemiecki), o tyle nieco łagodniej krytykuje imperializm brytyjski. Co się zaś tyczy imperializmu północnoamerykańskiego, to Barraclough traktuje go z dużą pobłażliwością. Przede wszystkim stwierdza kilkakrotnie, co zadziwia formalizmem i brakiem obiektywizmu, że Stany Zjednoczone prowadziły konsekwentną politykę antykolonialną. Ale już jawnym odciążeniem USA jest zupełne pominięcie neokolonializmu.

Ponieważ dla Autora wstęp do historii współczesnej pokrywa się z początkiem ery Pacyfiku, więc oczywiście Rosja (ZSRR) to według niego mocarstwo przede wszystkim azjatyckie. Jest to teza bardzo dyskusyjna, zwłaszcza gdy rozciągnąć jej zastosowalność do całego okresu po 1890 r. Jest przecież rzeczą oczywistą, iż w działaniach światowych Rosji (ZSRR) zarówno strefa śródziemnomorska, jak atlantycka (nie mówiąc o Europie jako całości) odgrywały i odgrywają istotną rolę.

Barraclough nie chce zrozumieć, że polityka światowa z natury rzeczy jest globalna, a nie „pacyficzna”. Konsekwencją tego uporu jest dość lekceważący stosunek do europejskiego teatru działań wojskowo-politycznych w dobie II wojny światowej. Można i to darować Autorowi, lecz trudno uznać za uzasadnione niedostrzeżenie odrodzenia Europy po 1955—1960 r. (tworzenie się wielkiego mocarstwa w postaci EWG; wszechstronny wzrost znaczenia Europy socjalistycznej; szybki rozwój Hiszpanii).

Historia staje się światowa, to znaczy że staje się wielkomocarstwowa: nawet w Azji i strefie Pacyfiku nie liczą się dla Barraclougha takie kraje, jak Wietnam, Korea, Iran, Australia. Małe kraje kilku kontynentów odzyskują dla Autora znaczenie tylko w najsłabszym chyba rozdziale pracy poświęconym sztuce i literaturze. Dlaczego? Jest to dlań wygodne, by wywieść, nie przekonywająco zresztą, iż w kulturze Europa cierpi na uwiąd starczy.

I jeszcze jedno. W Barraclougha historii światowej obecne są stale dwa supermocarstwa oraz Azja (okrojona) i — w mniejszym stopniu — Afryka (głównie po-brytyjska). Nie ma jednak (poza drobnymi wzmiankami) Ameryki Łacińskiej. Odnosi się wrażenie, iż z tym subkontynentem nie wie Autor co ma uczynić,

² W. Zajewski, *Historia ery Pacyfiku*, „Tygodnik Morski” 1971, nr 40, s. 14.

więc go przemilcza. Jakże to niekonsekwentne! Grzbietem swym coraz mocniej — od Meksyku po Chile — oparta o Pacyfik Ameryka Łacińska jest w historii ery Pacyfiku nieobecna. Latynoameryka, kontynent ogromnego wzrostu demograficznego (m.in. blisko stumilionowa Brazylia!), gwałtownych przemian zbliżających ją do „historii współczesnej” wraz z wszystkimi dylematami, na które nasz Autor zwraca baczną uwagę, pozostawiona jest przezeń w cieniu. Dlaczego? Sądzę, że po pierwsze, dlatego że w 1890 r. nie była już kolonią europejską i po wtóre, dlatego żeby nie mówić o północnoamerykańskiej imperialistycznej i neokolonialnej dominacji.

5. Historię dwóch supermocarstw nagina Barraclough do swej pacyfikocentrycznej tezy. Nie nowym pomysłem jest doszukiwanie się ścisłej paraleli między opanowaniem i zaludnieniem Syberii przez Rosjan i Dzikiego Zachodu po Kalifornię przez Jankesów (s. 109). Podobnie jest z eksponowaniem innych zbieżności w rozwoju Rosji i USA. Nawet wtedy, gdy centrum świata stanowił Atlantyk, jakieś „oczywiste przeznaczenie” pchało Rosjan i Amerykanów ku Pacyfikowi. Choć świat dąży, w myśl hipotezy Autora, ku systemowi dominacji kilku potęg, to rywalizacja ZSRR—USA w Azji i na Pacyfiku wysuwa się na plan pierwszy. Czy ta dwubiegunowa koncepcja, mniej historyczna niż geopolityczna, może się ostać w świetle naszej wiedzy o historii XX w.? Sądzę, że nie. Nie jest ścisłe, że jedynym ważnym kierunkiem ekspansji i zainteresowania Rosji i USA była i pozostaje Azja i Oceania (cele i strefa działania NATO i Układu Warszawskiego temu przeczą) ani też, że w „dwubiegunowym” świecie tak nie istotną rolę odgrywają ci pozostali — a więc większość ludzkości.

6. Barraclough silnie uwypukla wpływ marksizmu-leninizmu na dzieje świata w XX w., trafnie na ogół charakteryzując ogromne znaczenie myśli Lenina i ideologii komunistycznej dla emancypacji krajów Trzeciego Świata.

Wydaje się, że Barraclough (wciąż pamiętający o swej granicy 1890 r.) wyolbrzymia różnice między rzekomo tylko reformistycznym (po Wiośnie Ludów) i gradualistycznym marksizmem, a rewolucyjnym leninizmem. Autor popiera rozpowszechniony w literaturze zachodniej pogląd utrzymujący, że po pierwsze leninizm odpowiada nowemu etapowi rozwoju demokracji (demokracja masowa) i po wtóre, że nastawiony jest na zdobycie krajów słabo rozwiniętych gospodarczo. W myśl tej tezy dawny marksizm, związany z odeszłym w przeszłość XIX w., skazany jest na uwiad wraz ze schyłkiem Europy i obumieraniem liberalizmu. Sądzę, że jest to wywód nie wolny od uproszczeń.

Autor trafnie natomiast zauważa, że leninizm, osobliwie w odniesieniu do krajów Trzeciego Świata, ma sporo różnych odmian i że tendencje policentryczne w jego obrębie są nieodwracalne.

Jeszcze jedna uwaga. Barraclough pisze sporo o ruchach antykolonialnych i narodowowyzwoleńczych (oczywiście nie zauważając Ameryki Łacińskiej w ogóle, Kuby zaś w szczególności), słusznie traktując je jako istotny czynnik kształtujący historię współczesną. Szokujące jest jednak to, że lekceważy całkowicie wojny narodowowyzwoleńcze o charakterze partyzanckim. A przecież odegrały one ważną rolę w przeobrażeniach społecznych i świadomościowych w krajach agrarnych. Nawet przy ograniczeniu się do okresu poprzedzającego rok 1960 nie sposób nie wspomnieć o rewolucyjnych ruchach emancypacyjnych w Wietnamie, Algierii i na Kubie.

7. Geoffrey Barraclough przytacza sporo argumentów przemawiających za tezą o zwycięstwie demokracji masowej nad demokracją liberalną i parlamentarną, o sukcesie tego, społeczne, grupowe i kolektywistyczne nad tym, co indywidualistyczne. Nie wydaje się wszakże zasadne lekceważenie trwałych historycznych wartości demokracji liberalnej, tych cennych skarbów, jak poszanowanie

swobód osobistych i owej możliwości wyrwania się z „samotnego tłumu” i partyjno-państwowej uniformizującej dyscypliny.

Humanistyczne, głębokie rozumienie historii pozwala, jak miemam, na snucie rozważań prognostycznych. Podpowiada nam ono, że wraz z wyzwoleniem z ucisku, nędzy i zacofania ludzkość jutra zatęskni do nie samotniczego już indywidualizmu, że uzupełni i wzbogaci konstruktywne i pozytywne cechy „masowej demokracji” przetworzonymi i odrodzonymi pryncypiami „starego liberalizmu”. Człowiek społeczny nie odrzuci bogactwa praw jednostkowych. Obok inaczej niż w 1789 r. rozumianego hasła równości i braterstwa (Barraclough wolałby zapewne termin „koleżeństwo”) nie może zabraknąć hasła wolności.

Aby w przyszłości móc pisać z wielkiej litery słowo: Ludzkość trzeba będzie użyć każdorazowo wielkiej litery przy słowie: Człowiek. W minionych epokach i w naszych czasach zbyt często pisało się i pisze z wielkiej litery tylko albo jedno, albo drugie słowo.